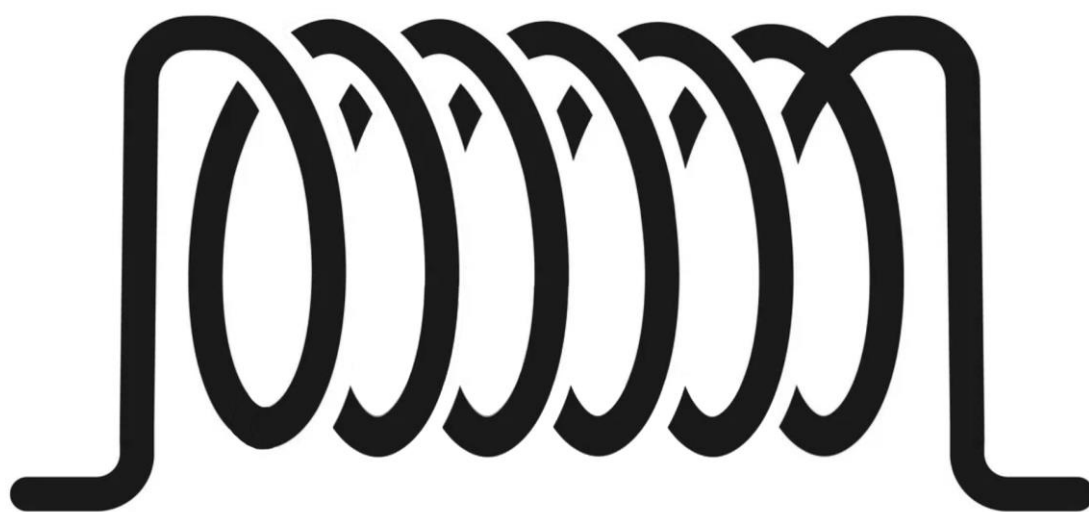


Jarosław Księżyk



**ASYSTENT**

Seria: INDUKCJA

[WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL](http://WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL)

## SPIS TREŚCI

---

Jeden .....	2
Dwa.....	5
Trzy .....	7
Cztery.....	11
Pięć .....	12
Sześć .....	15
Siedem.....	18
Osiem.....	19



## JEDEN

---

Poranne słońce powoli wspięło się po horyzoncie, wciąż jeszcze schowane za strzelistymi wieżowcami jednej z największych metropolii świata. Jego promienie gdzieś przedzierają się pomiędzy gęstą zabudową i rozświetlały kawałki szerokich ulic, w tym ulubioną aleję Johna. Mężczyzna biegł jednostajnym tempem, delektując się ciepłem na plecach. Oddychał głęboko i rytmicznie, pewnie i bez pośpiechu, długimi susami połykał kolejne metry.

Ruchem ręki pozdrowił innego biegacza. Jednego z nielicznych, skłonionych przez asystenta do wstania skoro świt, by zrobić coś dla zdrowia. John nie potrzebował się zmuszać. Codzienne bieganie traktował jako jedną z największych przyjemności. Czuł satysfakcję z obcowania z miastem, jakiego nikt nie zna. O poranku szerokie arterie, przyszyte kwietniki, fasady ze szkła i stali emanowały spokojem i nowoczesnością. Jeszcze godzina, może pół, a ulice zaroją się od samochodów, chodniki wypełnią wiecznie zagonionymi pieszymi, a powietrze straci rzeźkość. Poprawił na nosie swoje najnowsze aery, Discovery Z, i przyspieszył.

Zielone strzałki układały się na chodniku tuż przed nim. Ich jasna barwa dobitnie świadczyła o bardzo dobrym czasie. Właśnie minął bramkę i zobaczył na tafli przed oczyma pomiar. Był o ponad sekundę lepszy od swojego personal best. Spojrzał za siebie i zobaczył ducha, widmo odwzorowujące przeciętny rezultat, dopiero co wyłaniające się zza winkla.

Wspaniale ci idzie, Johnie Longhorne! — powiedziała z entuzjazmem jego

prywatna, wirtualna asystentka, Chloe. Smukła twarz uśmiechniętej brunetki zamigotała w prawym górnym rogu okularów rzeczywistości rozszerzonej.

— Dziękuję, Chloe.

— Już widzę zazdrość znajomych, gdy pochwalisz się nowym rekordem.

— Nie zależy mi na poklasku, robię to dla przyjemności — mówił lekko zdyszany.

— Każdy tak twierdzi. Jednak statystyki Toddle dowodzą...

— Bo cię wyłącze!

— Już milknę.

Trasa prowadziła wzdłuż szerokiego, spacerowego bulwaru, skąd odbijała w prawo w kierunku niewielkiego parku, właściwie skweru, i dalej wiodła wprost do domu. Gdy mijał wysokie, stalowe latarnie, przypomniał sobie, że kiedyś biegał inaczej. Zdaje się, że skręcał w lewo i nadrabiał dobry kilometr. A potem Chloe zmieniła szlak, w trosce o rozkład dnia. Tak to przynajmniej tłumaczyła.

— John, co robisz? — zaniepokoiła się asystentka. W tym samym momencie John zobaczył w szklach ostrzeżenie. Zbaczał z wytyczonej trasy.

— Wprowadzam odmianę. Mam dziś trochę więcej czasu.

— Ale co z wynikiem? Zmarnujesz taki dobry rezultat?

— Do diabła z rekordami.

Skręcił gwałtownie i wbiegł w uliczkę odchodzącą w lewo. Gdzieś za jego plecami przebiegły fantomy prezentujące historyczne rezultaty. Pogodził się z tym, że dobry czas został stracony.



Przeszedł w trucht i rozejrzał się wokoło. Wzdłuż czerwonego chodnika posadzono niewysoki żywopłot. Za nim rosła gęsta i zielona trawa. Parędziesiąt metrów dalej piętrzyły się zabudowania nowej dzielnicy biznesowej, wzniesione według współczesnych wzorców. Fasadą przypominały kamienice, kształtem nierówno ułożone wieże z klocków. Każdą wypustkę bądź zagłębienie wykorzystano na zbudowanie małego tarasiku czy loggii. Tam, gdzie było to niemożliwe, w powietrzu wisiał na linach stalowy chodnik, wyścielony trawą i ozdobiony krzewami. Natura, zieleń, spokój, lepsza wydajność.

— John, nie powinieneś tam iść — powiedziała spokojnie, acz dobitnie Chloe. Jej obraz, od pasa w górę, zajął teraz cały okular aerek tak, że przesłaniał większość widoku. Splotła ręce na piersi i spojrzała podejrzliwie.

Dlaczego? — wymamrotał zbity z tropu.

— Granica wpływów. Tutaj zaraz kończy się Toddle.

— Dziwne, pamiętam przecież...

— To było dawno temu — przerwała mu ostro. — Strefy cały czas się zmieniają.

Nie zawsze jesteśmy w stanie wygrać.

— Hmm — zasępił się i przystanął przy samej barierze.

W szklach widział przed sobą czerwoną, półprzeźroczystą ścianę, zaraz za plecami Chloe. Sprawiała wrażenie szyby oddzielającej dwa światy. Zupełnie jak ścianka akwarium. Z tą różnicą, że bariera była wirtualna, a co za tym idzie...

— Patrz! Nic mi nie jest — wykrzyknął zaskoczony, gdy przełożył dłoń przez granicę.

— Oczywiście, że nic. Możesz tam nawet wejść. Proszę bardzo, jesteś wolnym człowiekiem. Tylko nie licz wtedy na mnie, już ci nie pomogę. Będziesz poza zasięgiem. Stracisz dostęp do map, powiadomień, strumienia aktywności... Zostaniesz pozostawiony na łasce Mysoftu.

— Ale czy to źle? — Przesząpił z nogi na nogę i na chwilę zdjął swoje Discovery Z. Zniknęły wszelkie wspomagacze. Czerwona bariera, ikony ze statusami aktywności, najnowsze wiadomości ze świata, zdjęcia profilowe najczęściej używanych kontaktów oraz Chloe.

— Ej! — gruchnęła asystentka. — Co robisz?

— Nic. Tylko się rozglądam — odpowiedział, wpatrzony w najbliższy wieżowiec.

Na jednym z balkonów przechadzał się człowiek. Oddychał głęboko i spoglądał w niebo. Na twarzy miał aerki, podobne do tych od Johna. Bardziej przypominały ciągnący się od ucha do ucha wizjer kasku, niż okulary znane z poprzednich epok. Nieznajomy wybrał wersję przyciemnioną. John wolał całkowicie przezroczyste.

— Obywatelu Longhorn. Czy możemy tę dyskusję odłożyć na później? — zaproponowała naburmuszona asystentka. — Sterczymy tu, mięśnie stygną, a czas leci. Pogadamy w domu, co ty na to?

John patrzył na nieznajomego człowieka i miał ochotę krzyknąć do niego, pomachać, kto wie, może nawet zaprosić na kawę. Mógłby się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o Mysoftcie. Jednakże zanim zdobył się na odwagę, nieznajomy zniknął we wnętrzu wieżowca.

— Dobrze. Niech będzie — westchnął John.



To mi się podoba — entuzjastycznie podchwyciła Chloe.

Ponownie włożył szkła, po czym ruszył w kierunku bulwaru. Gdy tylko wskoczył na chodnik, na powrót ujrzał strzałki, a asystentka zapytała słodkim głosem, czy chce kontynuować uprzednio przerwany bieg. Nie wiedział nawet, że tak można, ale... chciał. Licznik wrócił do chwili, gdy zbieczył z trasy, fantomy cofnęły się za jego plecy, a John kontynuował gonitwę po rekord.



## DWA

---

— Zupełnie nie rozumiem, czemu nie chciałeś mnie pod prysznicem — usłyszał zawiedzioną Chloe, gdy tylko wyszedł z kabiny i z powrotem przywdział aerki.

Augmented Reality wykorzystwała gładką powierzchnię ściany tuż obok lustra, by zaprezentować wdzięki Chloe w samej białźnie. Asystentka pogładziła stopą po kształtnej tydce, przygryzła delikatnie wargę i spojrzała wzrokiem skruszonego dziecka.

Johna jednak bardziej interesowały trójwymiarowe newsy ze świata. Na blacie śnieżnobiałej komody, tuż przed złożonym ręcznikiem i równo ustawionymi butelkami z kosmetykami rozgrywały się sceny wojny toczonej na Bliskim Wschodzie. Malutki żołnierz kucali za gruzowiskiem, kiedy lotnictwo dokonywało ostrzału pozycji przeciwnika, gdzieś obok szamponu. Po chwili obraz na żywo zastąpiła wypiętrzona mapa z kolorowymi obszarami. Reporter objaśniał taktyczny aspekt walk. Chodziło o zdobycie kontroli nad kopalnią rzadkiego surowca, mieszczącej się na środku ręcznika.

— Dwudziesty pierwszy wiek, a dalej się biją. — Pokręcił głową, chwycił ręcznik i wytarł tors.

— Nie odpowiedziałeś mi na pytanie — drążyła Chloe.

Nic nie mówiąc, spojrzał w lustro. Był wysportowanym, wysokim mężczyzną o krótkich włosach i dosyć masywnej szczęce. Pasował do niej. Ona, brunetka metr siedemdziesiąt z wyraźnie zarysowaną talią, posiadaczka zmysłowych ud, nie za chudych i nie za grubych. Właśnie poruszała zawiadacko biodrami. A może to ona do niego pasowała?

— Przystojniak z ciebie — zatrzepotała rzęsami, jakby wyczuwając jego myśli.

— Skoro tak mówisz.

Przeszedł do małego saloniku połączzonego z aneksem kuchennym.

— Znów ta udawana skromność — mówiła do niego z przeciwległej ściany.

On jednak wolał zobaczyć panoramę zimowych Alp z lotu ptaka. Przełączył widok. Cienie ze śmigieł helikoptera przepływały po skalistych szczytach. John odetchnął głęboko i założył biurowy garnitur.

Asystentka przeszła na lodówkę i zapytała urażona:

— Czemu mnie ignorujesz?

Wciąż milcząc, otworzył drzwiczki chłodziarki i wyjął mleko. Jednakże kobieta ani myślała dawać za wygraną. Usadowiła się na dnie głębokiego talerza. Zasypał ją płatkami i zalał mlekiem.

— John! Przywołuję cię do porządku — zawołała z zaciągniętej rolety.

— Właśnie o to chodzi! — ryknął nagle. — Ciągle mi coś zakazujesz i nakazujesz. Tak nie może być!

Pospiesznie wrzucał w siebie śniadanie. Przez to całe zamieszanie podczas bieganina był już spóźniony do pracy. Ostatnie, na co miał ochotę, to dyskusje z naburmuszoną asystentką. Gdyby tylko mógł ją wyłączyć na dłużej. Coraz bardziej miał ochotę spędzić dzień tylko sam ze sobą.

— Przepraszam. Nie gniewaj się. Chciałam dla ciebie dobrze. Po co ci te wszystkie komplikacje z odłączaniem i dołączeniem do systemu. Ponowną weryfikacją tożsamości. Poza tym, nie wiesz, jaki jest Mysoft. Oni nie mają poszanowania dla człowieka i jego indywidualizmu. Dla nich jesteś jedynie



towarem, nic nieznaczącym numerkiem w rejestrze, mającym dobrze wyglądać w statystykach. Żeby tam istnieć, musisz całkowicie wyzbyć się prywatności, zainteresowań, nawet manier!

— Nie przesadzasz odrobinę? — burknął z pełnymi ustami.

— Właśnie o to chodzi, że nie — odparła poważnie. — Nie pamiętasz newsa o gwałcie?

— Niezbyt. — Wytarł usta chusteczką. Wstał, zarzucił torbę na ramię i przeszedł do przedpokoju.

— Oto on — powiedziała z triumfem w głosie.

Na drzwiach wyjściowych zamigotało zdjęcie przedstawiające zapłakaną, brudną kobietę, otoczoną mężczyznami o surowym obliczu. Prawdopodobnie była Arabką, wskazywało na to nakrycie głowy. Mężczyźni również musieli pochodzić z Bliskiego Wschodu. Każdy jeden miał gęstą, czarną brodę. Pod spodem w kilku akapitach mieścił się opis zdarzenia. Miało ono miejsce zaraz po przejęciu przez Mysoft kontroli nad strefą. Nie wszyscy wyznawcy Toddle zdążyli się ewakuować na czas, toteż wykorzystując fakt, iż byli oni odcięci od swojej sieci, pojmano ich i robiono im okropne rzeczy. Podobno gwałt nie był tam największym bestialstwem.

— I co? — zapytała Chloe. — Myślisz, że tutaj postąpiliby inaczej? Znamy wiele takich przypadków. Ryzyko jest duże.

— Dziwne to — odparł John i zamknął mieszkanie.

— Dziwne czy nie dziwne, po co ryzykować? — nakłaniała kobieta z okularów, gdy pospiesznie wbiegał na stację metra.



## TRZY

---

To zdecydowanie był jeden z tych dni, gdy otaczająca rzeczywistość nie dociera w pełni do człowieka, a jedynie prześlizguje się po świadomości.

John, pogrążony w myślach, zdawkowo odpowiadał znajomym, którzy dopominali się uwagi. Świadczyły o tym czerwone wykrzykniki w lewym okularze. Wszyscy chcieli pogratulować świetnego biegu. Zaiste, niezłą przysługę wyświadczyła mu Chloe, wrzucając wyniki na publiczny strumyk. Ale o tym też nie myślał. Całą uwagę skupiał na wizerunku zgwałconej kobiety. Jej pełna przerażenia i beznadziei mina była tak autentyczna i przejmująca, że nie potrafił jej wyrzucić z pamięci.

Jak to w ogóle możliwe, że w dwudziestym pierwszym wieku mają miejsce takie rzeczy? W czasach ekspansji cywilizacji i dobrobytu ludzie dalej potrafią gwałcić, mordować, przypiekać... Jeszcze raz dokładnie przeczytał artykuł. Razem z kilkoma innymi linkami podesłanymi mu przez asystentkę. Znalazł tam dużo dowodów dobitnie świadczących o barbarzyńskich standardach propagowanych przez Mysoft. Czytał to wszystko z miną zszokowanego dzieciaka.

Sam nie wiedział, czy bardziej zaskoczyło go ludzkie okrucieństwo, czy świadomość istnienia drugiego, innego, gorszego świata? Dotychczas niewiele wiedział o Mysofcie. Nie zastanawiał się nad tym. Była to dla niego tylko pusta nazwa. Tymczasem informacja o gwałcie spowodowała w nim wezbranie ciekawości. I to prawdopodobnie ona przywiodła Johna do odległej od centrum dzielnicy mieszkalnej, pełnej niskich kamienic z lokalami czynszowymi.

— Co my tu robimy? — zapytała niepewnie Chloe.

— Odwiedzamy Briana — odparł bez emocji.

John trzymał palec przy okrągłym dzwonku. Wystarczyło wykonać jeden mały, niezobowiązujący ruch. Dlaczego się wahał?

— To wiem, przecież sama wskazałam ci trasę. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak zniecka przypomniawszy sobie o koledze ze studiów? Nie rozmawialiście od paru dobrych lat. Dokładnie to od tysiąca dwustu pięćdziesięciu sześciu dni, siedmiu godzin i osiemnastu minut.

— Być może, ale ten szelma publicznie zakpił sobie z mojego rekordu.

— No i...

— Nic. Uznałem, że brakuje mi trochę jego ostrego poczucia humoru.

Postać sponiewieranej dziewczyny znów zamajaczyła mu przed oczyma. Zupełnie jakby zachęcała do wejścia. Odrzucił wszystkie myśli. Zadzwoił. Przez kilka chwil stał przed drzwiami z niepewnym wyrazem na twarzy. Może Briana nie było. Zdażył gdzieś wyjść. A może widzi Johna przez judasza i ani myśli wpuścić? Nie... Ten stary kawalarz najpewniej ma niezły ubaw, obserwując zmieszanie gościa.

— Otwieraj, bo ci kości porachuję! — krzyknął John.

Drzwi zatrzeszczały i stanął w nich Brian.

— Kopę lat, kolego Longhorn... — powiedział poważnie.

John nie dał się nabrać na surową minę. Parsknął i klepnął kolegę w ramię. Wtedy momentalnie wrócił pogodny i zawsze tryskający dobrym humorem człowiek, jakiego pamiętał ze studiów. Brian powitał gościa szerokim uśmiechem i mocnym uściskiem ręki, a potem zaprosił do środka.





W pomieszczeniu było pełno sprzętu elektronicznego oraz kabli. Na ścianie widniały wykresy, strumienie tekstowe oraz obrazy z różnych kamer. Piętrzyły się staroświeckie, ale wciąż niezastąpione nośniki danych. Brian, wieczny lekkoduch, zawsze był najlepiej poinformowany ze wszystkich. Z tego właśnie powodu odwiedził go John.

Brian przyniósł kawę, po czym usiadł na obrotowym krześle. Był ogolony „na zero”, miał szerokie i duże usta, sprawiające wrażenie wiecznie uśmiechniętych oraz mocno odstające uszy, dzięki którym nie uwierały go wyjątkowo duże aerki.

— Zacząłeś biegać! — zagaił gospodarz.

— Tak, codziennie przed pracą. Odpręża mnie to.

— A nie pamiętasz jak profesor mówił, iż do biegania to są stworzone gepardy, psy i inne czworonogi, a nie człowiek?

— Pamiętam. Tak samo jak sentencje o tym, że do siedzenia całymi dniami stworzono koalę — zadrwił John.

Brian ostentacyjnie obrócił się na krześle, uśmiechnął jeszcze szerzej i po chwili dodał pojednawczo:

— Zatem obydwaj rozminęliśmy się z przeznaczeniem.

— Dokładnie.

— Gdybym ci teraz dał moje patrzaki, to byś posłuchał, co na ten temat ma do powiedzenia Cassidy — parsknął Brian.

John przez chwilę zastanawiał się, dlaczego dawny kumpel nagle wspomniał o swojej asystentce. Musiał wrócić do pamięci z czasów studenckich, już prawie zatartej, kiedy wraz z Brianem bawili się w różnego rodzaju konspiracje oszukujące system. Odkurzył zasady tej gry.

— Z kolei Chloe udzieliłaby ci niezłej lekcji ze zdrowego odżywiania — spróbował.

— John! — warknęła asystentka.

Zapewne podobne pouczenie usłyszał i Brian, gdyż zmarszczył się teatralnie i zaproponował cierpiętniczym głosem:

— Wiecie co, dziewczyny? Może dacie nam chwilę na osobności?

Brian bardzo sprytnie zapewnił im chwilę intymności. Co prawda w świecie Toddle każdy mógł na jakiś czas wyłączyć aerki, jednakże dobrze było mieć ku temu solidne usprawiedliwienie. Przynajmniej nie chcąc się narazić na wścibskie pytania asystentki.

Mężczyźni zdjęli okulary i odłożyli je na stół.

— Dobra, mamy jakiś kwadrans, zanim baby nam się znowu obudzą — wypalił. — Po co przyszedłeś? Bo na pewno nie w kurtuazyjne odwiedzinie?

John, uderzony bezpośredniością, zawahał się, zaczął coś bełkotać o nadrabianiu straconych lat, dobrych stosunkach koleżeńskich, małej ilości czasu, aż w końcu wyznał prawdę. W kilku zdaniach zreferował Brianowi wydarzenia z poranka, opisując trapiącego go newsa. Kolega przygryzł wargi i słuchając z uwagą odwrócił się do klawiatury. Nic nie mówiąc, brnął w płaszczyźnie wyników głębiej i głębiej, aż dotarł do szukanej treści.



— Faktycznie, miało miejsce takie zdarzenie — podsumował, spoglądając na zajmujący całą ścianę obraz witryny internetowej opisującej gwałt. — I co z tego?

— Nie sądzisz, że to dziwne? Mamy niby dwudziesty pierwszy wiek. Epokę demokracji, poszanowania wartości. Praktycznie wyeliminowaliśmy przestępczość. A tu okazuje się, że zaraz za granicami Toddle dzieją się takie rzeczy! Niedaleko nas!

— Kolego Longhorn. Zapamiętałem cię jako bystrego faceta — zadrwił Brian.

— O co ci chodzi?

— Myśl szerzej... niedaleko nas!? Bez zastanowienia zjadasz kielbasę, którą ci podsuwają. Po pierwsze, otoczenie na tym zdjęciu nie wskazuje, aby zrobiono je w cywilizowanej części świata. Po drugie, widziałem już dużo wyssanych z palca paszkwili na Mysoft. I vice versa. Po trzecie, nie wciskaj mi tu kitu, że poruszyła cię historia biednej zgwałconej kobiety.

— Czyli według ciebie to nieprawda? — zapytał John, pomijając milczeniem punkt trzeci.

— Pewnie! — parsknął lekceważąco Brian. — Chcesz dowodu? Daj mi minutę.

Przez następne sześćdziesiąt sekund John obserwował festiwal przelatujących mu przed oczyma ekranów: stron internetowych, kart pełnych kodu programistycznego, dokumentów z dziwnymi treściami, systemowych okien konfiguracyjnych. Wreszcie ujrzał artykuł łudząco podobny do poprzedniego. Tylko że tym razem firmowany przez Mysoft. Dla pewności, Brian wyświetlił obydwie wiadomości obok siebie.

— Czekaj, czekaj. Ale jaja. To samo piszą o Toddle!

— A nie mówiłem? Frazesy, panie Longhorn. Kielbasa dla wiernych piesków.

— Skąd to wiesz? Jak na to trafiłeś? — sypał pytaniami John, wpatrzony w ekran jak w święty obrazek.

— Chłopie. Przecież jestem technikiem. Żyję na skraju stref. Podłączam infrastrukturę nowych terenów. Tutaj jeszcze niedawno był Mysoft. Zostały resztki ich sieci. Trzeba tylko wiedzieć, jak obejść zabezpieczenia i wbić się...

— Niesamowite — westchnął John i zwiesił głowę. — Dzisiaj już chyba nie zasnę — dodał.

— Spoko. Robią nas w konia. Nic nowego. A jak nie możesz spać, to popatrz na reklamy. Same poradnie leczenia zaburzeń snu — rzucił Brian, czytając linki sponsorowane pod jednym z artykułów.

John już miał coś odpowiedzieć. Znaleźć jakąś szybką ripostę, ale nie było mu dane.

— Ciekawe — zawołał Brian i aż podskoczył.

— Co? — zdziwił się John.

— Patrz na te poradnie od snów. W obydwu artykułach jest taka sama reklama.

— No i?

— Z lewej jest Toddle, z prawej Mysoft. Oni nigdy nie dzielą kampanii. To pierwsza zasada. Jeśli jakaś instytucja istnieje w jednym ekosystemie, w drugim nie może... — A one są dokładnie takie same?

Obydwaj wlepili wzrok w ścianę i litera po literze studiowali mały trójwymiarowy prostokąt w kolorze ciemnego granatu, na którym widniała postać atrakcyjnej kobiety, leżącej na półksiężycu z rozmarzoną



miną. Poniżej białą czcionką napisano kilka frazesów na temat roli snu dla funkcjonowania organizmu, a jeszcze niżej podano namiary adresowe... Różniące się tylko położeniem geograficznym. Nieznacznie.

— Nieźle — huknął Brian. To ta sama ulica. Na granicy stref. Jedna klinika jest w Mysofcie, druga tutaj u nas... Zaledwie pięćdziesiąt metrów od pierwszej.

— Daj mi namiar na naszą — rzucił bez zastanowienia John.

— Jeśliś taki ciekawski, to zostań technikiem. Tutaj nie dopadnie cię nuda — zaproponował Brian, podając Johnowi karteczkę z adresem.



## CZTERY

---

Przypadek, zbieg okoliczności, zrządzenie losu. Zjawisko zaistnienia kilku zdarzeń pozornie zbieżnych ze sobą i zdających się mieć jakiś głębszy sens. W ujęciu statystycznym niewiele znacząca, niereprezentatywna próbka, tracąca na znaczeniu na tle większej całości. Grudka w nierównomiernie wymieszonym kisielu. Dokładnie tak, zgodnie z wykształceniem, John tłumaczył sobie odkrycie, jakiego dokonali wspólnie z Brianem. Niby nic, a jednak nęcąca ciekawostka.

Brian już pewnie o tym zapomniał. John w duszy przyznał rację koledze. Nie chodziło o zgwałconą kobietę czy łajdactwa Mysoftu. Po prostu w jego życiu zdarzyło się coś nietypowego, nieprzewidywalnego, przełamującego rutynę. Brian zapewne miał takich bodźców na pęczki. John nie mógł sobie pozwolić na taki luz. Praca czekała. A dzień zapowiadał się na wyjątkowo ciężki.

Spółka z jego portfela pikowała w dół. Toddle groził wycofaniem wsparcia swoimi usługami, jeśli wartość akcji spadnie jeszcze niżej. Jakby tego było mało, na nic zdała się dywersyfikacja portfela, gdyż nie dalej jak wczoraj na granicy upadku znalazł się już potężny kombinat wydobywczy. I to pomimo bogatych złóż czy ogromnej liczby wartościowego sprzętu. Giełda za nic ma realną wartość. Nie szanuje niczego. W tym również ułożonego zgodnie ze sztuką portfela Longhorn Liberare Growth.

Tego dnia John nie był dość szybki. Jego umysł działał niczym w zwolnionym tempie. Co prawda tabele i wykresy przepływały tuż obok, krzycząc niepokojącymi kątami pochylenia linii regresji, jednak on nie reagował wystarczająco prędko. Zbyt późno przerzucał jednostki, tworzył zlecenia sprzedaży i skupu. Nie wychwycił wystrzału wskaźników, gdy forowana przez niego spółka zyskała ponad dziesięć procent jednego dnia. Nie rwał włosów z głowy, widząc, jak niegdysiejsze intratne obligacje zyskują status śmieciowych. Cały czas myślał o poradni leczenia zaburzeń snu i kapitalizował straty.

— Lognhorn, może zrobiłbyś sobie wolne? — ni to zapytał, ni oznajmił dyrektor działu, stary wyga, na co dzień siedzący za biurkiem ze wzrokiem wbitym w setki statystycznych paneli. To nie była prośba, a rozkaz. John uzmysłowił to sobie, gdy zobaczył postać wychudłego staruszka tuż za plecami. Dyrektor nie zwykł wstawać ze stołka, żeby pytać.

— Tak jest, panie dyrektorze — wymamrotał i głośno przełknął ślinę.

Chloe obudziła się dopiero, gdy wyszli na zewnątrz. John przysiadł na betonowej ławeczce tuż obok betonowego kwietnika przed wejściem do strzelistego wieżowca, miejsca swojej pracy.

— Co się dzieje? — zapytała z troską.

— To nic, mam po prostu gorszy dzień — odparł zgodnie z prawdą.

— W takim razie wróćmy do domu, prześpisz się, odpoczniesz. Już rysuję trasę.

— Nie! — krzyknął głośno, jakby ukłuty szpilką. Igłą była nagła myśl. — Pójdziemy gdzie indziej. Pokieruj mnie na ten adres — zakomenderował i podsunął przed okular karteczkę od Briana.

— Masz problemy ze spaniem? Nic nie zauważyłam. Na ogół nie umiem cię dobudzić...

— Ostatnio wiecznie śnię mi się koszmary. Chcę to skonsultować. Pozwolisz? — Wstał i ruszył przed siebie do pierwszego lepszego przystanku kolei podniebnej.

— Dobrze, już dobrze — uspokajała Chloe. — Musisz zawrócić. Szybciej będzie ekspresem z drugiego końca placu.



## PIĘĆ

---

John stanął w drzwiach do małej, ciasnej poczekalni z niziutkim sufitem. Zdębiał. Co prawda, sam dobrze nie wiedział, czego oczekuje po tym miejscu, w końcu nie miał pojęcia, jak wyglądają tego typu lecznice, ale był przekonany, iż ktoś na niego oczekuje. Wiedziano, że John się pojawi. Wmówił to sobie i zdążył uwierzyć. Tymczasem podstarzała recepcjonistka z niedbale ufarbowanymi włosami ani myślała odlepić wzroku od lady, na której od niechcienia przerzucała palcami elektroniczne karty pacjentów i inne dokumenty.

— Na pewno nie chcesz, żebym poszukała innej kliniki? — zaproponowała Chloe. — Nie.

John przełknął ślinę, podszedł do obskurnej recepcji i nachylając się nad kontuarem, powiedział niepewnie:

— Chciałbym skorzystać z porady.

Kobieta niechętnie uniosła głowę i potraktowała Johna gniewnym spojrzeniem, wypaliła:

— Umówiony był?

Czemu o tym nie pomyślał? Należało się umówić, prawda. Może to i dobrze. Najbliższy wolny termin będzie za dwa miesiące i sprawa rozejdzie się po kościach.

— Niestety nie. Rano zobaczyłem ogłoszenie i przyszedłem z marszu.

— A nie mówiłam... — Usłyszał głos asystentki.

Tymczasem recepcjonistka westchnęła ciężko i przyłożyła rękę do ucha. Odbyła szeptem krótką rozmowę, po czym zadecydowała:

— Niech wejdzie. Pokój po lewej.

Wnętrze gabinetu nie odbiegało od reszty wystroju tak zwanej kliniki. Niski strop, przywodzący na myśl piwnice. Słabej jakości wizualizacje, migoczące i skaczące na chropowatej powierzchni poźółkłych ścian. Do tego wszystkiego umeblowanie i osprzęt przypominający poprzednią epokę. Obdrapane biurko. Kozetka z prześcieradłem w paski. Metalowa lampa na stojaku. Jakiś aparat z kablami na ruchomym stoliku obok. Obszarpana kotara zasłaniająca przejście do drugiej części pomieszczenia.

— Proszę usiąść. Zapraszam — nakłaniał krępy mężczyzna ze stetoskopem na szyi. Wyglądał na przemęczonego. Ubrany był w niezbyt czysty fartuch i uśmiechał się w wymuszony sposób. Pasował do wnętrza wprost idealnie.

Ma pan dużo szczęścia, trafił pan na lukę — ciągnął. — Teraz właśnie miałem

przyjmować stałego klienta, jednak coś mu wypadło, no i zrobiło się okienko. Normalnie dostałby pan termin za kilka tygodni.

— Rozumiem. Dziękuję, panie doktorze — rzucił John.

— Proszę, proszę siadać i ściągnąć koszulę. — Ponownie wskazał kozetkę lekarz.

Johna ogarniało zniechęcenie. Coś mówiło mu, że popełnił błąd, przychodząc tutaj. Dał się zwieść przypadkowym układem dwóch ogłoszeń i teraz tracił czas w podrzędnej lecznicy. Jednakże skoro powiedział „a”, trzeba było powiedzieć i „b”. Posłusznie spełnił prośbę.



— Niech pan powie — zagał lekarz — jaki ma pan problem. Co pana do nas sprowadza?

John poczuł zimną słuchawkę na piersi.

— Ostatnio miewam trudności ze snem. Co prawda zasypiam jak kamień, ale potem budzę się o czwartej nad ranem i nie mogę dalej spać — skłamał.

Słuchawka wędrowała po ciele Johna.

— Aha. To dość powszechne zjawisko. Powodem jest najpewniej narastające napięcie nerwowe. Proszę głęboko oddychać. Wdech... Wydech... Dobrze. Wygląda pan na okaz zdrowia.

— Dziękuję. Chloe dba o moje zdrowie. Dlatego myślę, że problemy są przejściowe.

— Mówiłam to od razu. Dobrze, że choć po czasie przyznajesz mi rację — skwitowała asystentka.

— To się okaże — wymamrotał lekarz i badawczo spojrzął Johnowi w oczy. — Asystentki dobra rzecz. Troszczą się o nas jak o własne dzieci. Ale teraz, na chwilę, na czas badania musimy przeprosić Chloe.

Ostrożnie zdjął pacjentowi aerki. Chloe zamilkła. Zostali sami.

— Skąd wiesz o klinice? — zapytał wprost.

— Z ogłoszenia — wybełkotał John.

— Tak. Z jakiego?

— Widziałem je na streamie jakiejś gazety. Już nie pamiętam. Pod artykułem o zgwałconej kobiecie.

— Tylko tyle?

— Tak — wzruszył ramionami.

W takim razie podzielam Pana opinię. Pana problemy są przejściowe. Propo-

nuję na wieczór zaparzyć ziółka i wypić cały kubek przez snem. Po góra dwóch tygodniach trudności ze snaniem miną. Może pan już założyć szkła.

Lekarz przeszedł do biurka i zajął się wstukiwaniem zaleceń do kartoteki.

— Ale... — miał ochotę powiedzieć John.

Poczuł się jak dziecko wchodzące do baśniowej krainy i odkrywające, iż nie ma w niej nic baśniowego. A więc to był przypadek? Dwie takie same reklamy. Błąd systemu? Luka w oprogramowaniu? John byłby się pogodził z porażką i utratą popołudnia, gdyby nie okulary właśnie. Lekarz nie miał szkieł rozszerzających rzeczywistość! Ani recepcjonistka. Na ich nosach widniały staromodne plastikowe oprawki. A przecież byli na terytorium Toddle, gdzie obowiązywał nakaz korzystania z systemu! John ponownie poczuł, jak krew napływa do głowy, a pytania jedno za drugim nieznośnie go atakują. Teraz albo nigdy. Kawa na ławę.

— Ta sama reklama była pod takim samym tekstem Mysoftu — wypalił i jakby uszło z niego powietrze. Z ciężkim jak bryła ołowiu sercem spoglądał na surowe oblicze medyka i czekał na jego reakcję.

Lekarz wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, po czym z wyraźnym oporem zapytał:

— I co w związku z tym?



— To nie był przypadek, prawda? — John zaryzykował pytanie. — Tak jak nieprzypadkowo Toddle i Mysoft obsmarowują się tym samym newsem.

Medyk wstał, odślonił kotarę i oficjalnym tonem poinstruował:

— Zatem zapraszam pana do ambulatorium. Tylko proszę pamiętać, stamtąd nie ma drogi odwrotu.

Fala wątpliwości napłynęła niczym tsunami. Co kryło się za zasłonką? Na co tak naprawdę się zgadza, idąc za lekarzem? Po co w ogóle mu to wszystko? Czy nie wystarczy świadomość, że korporacje pogrywają niczego nie świadomymi ludźmi i realizują własne interesy?

Wstał i z oporem przeszedł do ambulatorium. Z każdym ruchem czuł jakby nacierał na niego nurt rwącej wody, a on sam przeciwstawiał mu całą siłę mięśni i woli.

Lekarz zapalił światło. W pokoju stały cztery na oko wygodne łóżka, nad którymi wisiała aparatura wraz z kilometrami kabli.

— Jesteś zdecydowany? Muszę to usłyszeć — zapytał poważnie medyk.

Tak — odparł John, z taką pewnością w głosie, na jaką tylko było go stać.

— Dobrze. Nie ma czasu do stracenia. Za chwilę wrócisz do rozszerzonej rzeczywistości i powiesz asystentce, że zdecydowaliśmy zostawić cię na obserwacji na noc. Formalnie będziesz tutaj spał w najlepsze, podłączony do okablowania, a my sprawdzimy głębokość snu. Rozumiesz? Wiesz, jak to masz powiedzieć, żeby złapała haczyk?

— Tak, wiem jak rozmawiać z Chloe. Nie rozumiem tylko, po co mam tu spać...

— Nie zgrywaj idioty. Podczas, gdy Toddle będzie myślało, że smacznie chrapiesz, ty pójdziesz pod ten adres. — Wręczył Johnowi wymiętą karteczkę. — Tam wszystkiego się dowiesz.

— Ale dokładnie czego?

— Zobaczysz! — pospieszał lekarz. — Nie ma czasu do stracenia. Aha, jeszcze jedno. Masz wadę wzroku?

— To znaczy?

— Czy dobrze widzisz bez aerek?

— Niezbyt, wszystko jest jakby rozmazane.

— To, co bliżej, czy to, co dalej?

— Bliżej.

Medyk sięgnął po duże tekturowe pudło pełne woreczków foliowych z okularami. Grzebał w nich przez chwilę, aż w końcu wyciągnął wielkie, grube, bordowe oprawki i nałożył je Johnowi na nos.

— To tandetne bryle do czytania, ale muszą wystarczyć. Lepiej?

— Tak, nieco lepiej. Ale może znalazłby się inny kolor?

— Nie ma czasu! Mówiłem ci. Idź już. I... powodzenia.



## SZEŚĆ

---

John dał się ponieść euforii. Po raz pierwszy od dawna kroczył ulicami miasta bez asysty. Szedł nie wiadomo dokąd, nie wiadomo po co. W oderwaniu od najświeższych wiadomości i kontaktu ze znajomymi. Bez Chloe, przeświadczonej o tym, że śpi podłączony do skomplikowanej aparatury w gabinecie.

Lekarz o nieznanym imieniu oprócz napisania adresu narysował także skrótową trasę. Tajemniczość jeszcze wzmagała działanie adrenaliny. Gdy mijiał oświetlone latarniami kamienice, zdał sobie sprawę z siły ciekawości. Miał pewność, że to właśnie ona pognąła go w to miejsce. Wystarczyła skromna iskra zapalna, by pobudzić wyobraźnię i skłonić do działania.

Maszerował tuż obok gromady przechodniów spieszących się do domu po dniu pracy, biegnących do magnetycznych pociągów płynących wysoko nad głowami, szukających nerwowo automatycznej taksówki, pokrzykujących na swoich asystentów, gdy ci nie wysłali na czas przypomnienia o kolacji z żoną. Tego wieczoru John był ponad to wszystko.

Znów uderzyło go to dziwne uczucie, że nie zna miasta, w którym mieszka. Dokładnie tak jak o poranku, kiedy zdjął cyfrowe szkła i zobaczył metropolię taką, jaką jest, bez wirtualnych pasów i znaków drogowych, wszędobylskich reklam, wskaźników odległości do najbliższego skrzyżowania, trójwymiarowych szyldów sklepowych i tym podobnych. Widział to wszystko na surowo. Bez ulepszeń i responsywnych wskazówek.

Pozdrowił uśmiechem kilka mijanych, pięknych kobiet. Miał ochotę podzielić się radością, jednak one były zbyt pochłonięte wewnętrznym światem, by zauważyć pozdrowienie, a co dopiero je odwzajemnić. John po raz pierwszy od dawna był autentycznie sam ze sobą, co sprawiło mu wielką radość.

Maszerował już dobre pół godziny i wnioskując ze wskazówek, przeszedł ledwie połowę drogi. Tak przynajmniej sądził po nabazgrozonych wskazówkach pozostawionych przez lekarza. Coraz częściej nie miał pewności, czy skręcił w dobrą przecnicę. Czy sto metrów jest bliżej czy dalej? Późna pora spowodowała również, że ruch zelżał. Do tego cały czas oddalał się od szeroko pojętego centrum w kierunku przedmieść.

Pierwsze wątpliwości naszyły go, gdy znalazł się na dużym skrzyżowaniu łączącym ze sobą bez mała pięć ulic. Według uwag miał skręcić w lewo. Tylko w które lewo? Przez głowę przemknęła mu szybka myśl. Gdyby tak na chwilę dało się włączyć Chloe, żeby podejrzeć trasę, zobaczyć, ile kilometrów zostało do celu oraz jaki jest szacowany czas dotarcia. Ale niestety, okulary zostały na kozetce. Może to i dobrze. Nie zmienia się zasad w trakcie gry. Wybrał pierwszą w lewo.

Kwadrans później był już pewien, że poszedł źle, gdyż wskazówki nijak nie pasowały do otoczenia. Mowa była o stacjach przystankowych, ciągnących się ku niebu. Tymczasem w okolicy zarejestrował dużo starych przyziemnych samochodów oraz nieliczne przygasające latarnie. Może od kogoś pożyczyć aerki? Tylko na chwilę. Niestety, nikogo innego nie było w zasięgu wzroku. Dopiero po kilkuset metrach spotkał grupkę młodzików grających w piłkę. W okularach jednego z nich dostrzegł iluzję boiska. Siedzieli obok siebie, pokrzykiwali i emocjonowali się akcjami małych bohaterów, biegających po murawie tam, gdzie wskazywały im gałki oczne.

— Cześć, chłopaki. Pożyczysz któryś na chwilę szkief?

W pierwszej chwili zignorowali go.





— Halo, tu ziemia — krzyknął.

— No i masz, straciłem bramę — zawył jeden z chłopców i nienawistnie spojrzął na Johna. — Czego chcesz?

— Pożyczycie mi na chwilę aerek? Muszę sprawdzić trasę.

— A co z twoimi? Nie stać cię?

— Zgubiłem, jeszcze nie mam nowych — skłamał.

— Zapomnij. To najnowszy model AR Asteroid S — warknął chłopak i wrócił do gry.

John nie miał wyjścia. Musiał iść dalej. Po pewnym czasie został sam. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był sam. Tak samo jak nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuł lęk. Bo przecież nie miał się czego bać. Współczesny świat skutecznie wyeliminował większość zagrożeń. Asystenci dbali o zdrowie, pomagali odnaleźć partnera. Znali mocne i słabe strony protegowanego, toteż zawsze znaleźli odpowiednią i dobrze płatną pracę. Czegoż miałby się obawiać? Jednak wtedy, u progu nocy, stał na pustej ulicy, sam jak palec, bez wiedzy, gdzie jest ani nawet, która jest godzina. Pozbawiony był również możliwości powrotu, wszak wskazówki od lekarza obejmowały trasę w jedną stronę. Nie mógł o nic zapytać Chloe. Nie mógł zagadać znajomego. Nie mógł nawet zawołać policji.

Zawładnęły nim lęk i bezsilność. Przysiadł ciężko na murku.

— Wszystko dobrze? — zagadnął czarnoskóry jegomość w odblaskowym stroju.

— Co? Ach... tak. Wszystko dobrze — odparł zmieszany John, lecz szybko zmienił zdanie. — Właściwie to nie. Zgubiłem się.

— Zgubiłeś? — powiedział z drwiną w głosie Murzyn. — Byle nie działają, czy co?

— Nie mam ich ze sobą — przyznał.

— To nielegalne. — Błysnęły śnieżnobiałe zęby. Nieznajomy miał niezły ubaw.

— Wiem, ale co ci do tego? — odparował John. Jednak zaraz zreflektował się i zebrawszy w sobie rzucił:

— Pomożesz mi? Szukam pewnego adresu.

— To będzie kosztowało.

— Ile?

— Dwie setki. — Murzyn znów szelmowsko się uśmiechnął.

— Ile?! To jest skandal — ryknął John. Nieznajomy chciał go pozbawić całej tygodniówki.

— Nie to nie. Radź sobie sam. — Murzyn wzruszył ramionami.

— Dobra, dam stówkę. Pomyśl, ile musiałbyś pracować, żeby zarobić tyle kasy. — Obudziła się w Johnie zawodowa żyłka do interesów.

— Sto pięćdziesiąt.

— Sto dwadzieścia pięć.

— Stoi — podsumował nieznajomy.

John bez wahania przyłożył palec do powierzchni jego aerek. Transakcja została dokonana.



— A oto adres — dodał.

Murzyn pogadał przez chwilę z asystentką. Powiódł wzrokiem po mapie na wewnętrznej stronie soczewek i stwierdził pobłażliwie:

— To dwie ulice dalej. O tam — wskazał ręką. — Tylko jest jeden problem.

— Mianowicie jaki? — burknął John. Był tak blisko celu i musiał stracić tyle kasy, by się o tym dowiedzieć? Złość dodała mu wigoru.

— Tu zaraz kończy się Toddle — powiedział murzyn i odszedł bez pożegnania.

Zostawił Johna na środku chodnika, wpatzonego w niewidzialną barierę. Granicę znanej cywilizacji. Niczym promienie porannego słońca, ze snu o przygodzie wybudziły go przestrogi Chloe. Tam, za granicą, miał przestać być człowiekiem i stać się towarem. Łakomym kąskiem do zmielenia w trybach korporacyjnej maszyny. Materiałem do obróbki, pozbawionym własnej woli i prawa do intymności. Sygnatariuszem cyrografu, inszej polityki prywatności.

Czyż nie łatwiej byłoby dogonić Murzyna, wręczyć mu więcej kasy i poprosić o zawołanie policji? Nadleci patrol, zidentyfikuje Longhorna, wlepi mandat za porzucenie rozszerzonej rzeczywistości i odwiezie do domu. Albo jeszcze lepiej, do kliniki! Tam wróci do asystentki, prześpi się, a rano wszystko będzie po staremu. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła — przypomniał sobie dawne przysłowie. Tylko kto dzisiaj jeszcze wierzy w piekło? Wspomniał zdjęcie zgwałconej kobiety. Widok mężczyzny na balkonie w Mysofcie. Swoją dłoń za czerwoną ścianą. Bliźniaczo podobne, propagandowe wiadomości z obydwu ekosystemów. Zaciętrzewienie, z jakim Chloe odwozili ją od zamiaru drążenia sprawy. Pomyślał o tajemnicy czekającej na odkrycie.

Nie podreptał, nie poszedł, nie pomaszerował, lecz rzucił się biegiem. Krzycząc, przeleciał przez niewidzialną granicę. Był tam. Po drugiej stronie. Zdany na łaskę Mysoftu.



## SIEDEM

---

— Cześć. Jesteś sam? Nazywam się Serena. Zgódź się, a będę twoją asystentką — mówi z reklamy do Johna czarnoskóra kobieta z lokami do ramion. Mówi, gdy ten błądzi wzrokiem po witrynach małych sklepików, barów i przybytków o wątpliwej reputacji.

— Też jej nie lubię — nagabuje druga pani, gdy John wbiega po schodkach prowadzących do metalowych drzwi, gdzieś w oficynie. — Jestem Sandra i nie stroję fochów — dopowiada spoufalająco.

John nie słucha i puka do drzwi. Odpowiada mu głucho dudnienie, zagłuszające trzecią kobietę, próbującą pouczającym tonem instruować:

— Musisz mieć asystentkę. Nie czekaj, aż przypiszą ci ją z urzędu. Weź mnie, Silwię, stanowczą i konkretną. Z marszu załatwię ci najnowsze aery Luna 2520.

Longhorn nie może wrócić, wie o tym. Jest również pewien, że znalazł właściwe drzwi. Zbiera w sobie siły, łapie za klamkę i naciera z całych sił. Ciężkie skrzydło puszcza pod naporem. John wpada do jakiegoś pomieszczenia, widzi przed sobą bezwonną mgiełkę i czuje na ramionach czyjeś silne ręce. Potem nie pamięta już nic.



## OSIEM

---

— Wybacz, przyjacielu — wzdycha siwy mężczyzna o czarnych, nieprzeniknionych oczach. Ma nieregularny zarost, niedbale narzuconą jeansową kurtkę i coś, co farmaceuci nazwaliby syndromem niespokojnych nóg. Ciężkie podeszwy rytmicznie uderzają o ziemię.

— Wiem, kręci ci się w głowie i nie umiesz zebrać myśli. To przez środek obezwładniający. Musimy dbać o bezpieczeństwo. Lepiej gościa uspić, sprawdzić i dopiero potem z nim gadać, a nie odwrotnie.

John chce przytaknąć, lecz głowa bezwiednie opada na klatkę piersiową. Ktoś pomaga mu ją z powrotem podnieść.

— Mówię do ciebie, przyjacielu, albowiem wiem, żeś przyszedł do nas szukać odpowiedzi.

Longhorn powoli odzyskuje świadomość. Wie już, że siedzi w obszernym fotelu.

Nieprzywiązany. Mruga, co rozmówca opatrzenie odczytuje jako zgodę.

Siwy mężczyzna uśmiecha się i kontynuuje:

— Gratuluję. W dzisiejszych czasach niewiele stać na taki akt odwagi. Masz zapewne dość obłudy, ciągłej kontroli i wyrzeczenia się własnej intymności w imię postępu. Nie uważasz za stosowne, aby obdzierano cię z resztek człowieczeństwa dla rzekomej nieograniczonej wiedzy. Tak naprawdę czujesz, iż wiesz jeszcze mniej i jeszcze szybciej zapominasz. Prawda?

Przez chwilę John zastanawia się, co go sprowadziło na ten fotel i czy jest to jedna z rzeczy wymienionych przez nieznanego. Szybko przypomina sobie, iż była to ciekawość. Chce powiedzieć o swoim spostrzeżeniu, lecz wydaje z siebie jedynie bełkot. Język wciąż ma poplątany.

— Nic nie mów! Wiem wszystko. Po to właśnie zostawiliśmy to ogłoszenie... Jedynie jednostka zdolna do jakiegokolwiek refleksji mogła wyciągnąć wnioski z bzdurnego artykułu i pójść na seans leczenia zaburzeń snu... Tylko poszukujący prawdy.

Słowo „jednostka” wywołuje w Johnie tęsknotę za Chloe. Teraz jak nigdy dotąd chciałby usłyszeć jej ciepły głos, zobaczyć zielone strzałki prowadzące do wyjścia i punkcik na mapie, wskazujący dom. Dlatego też z nadzieją patrzy na szerokie, całkowicie przeźroczyste aerki, jakie trzyma w rękach nieznanemu.

— Wyobraź sobie świat, gdzie ty jesteś najważniejszy. Twoje potrzeby, twoje zainteresowania, twój charakter. Gdzie nie jesteś towarem, a dobrem. Gdzie obowiązuje inna polityka prywatności, a asystenta możesz wyłączyć kiedy chcesz. — Siwy mężczyzna wyciąga szkła w kierunku Johna i nawiedzonym głosem kontynuuje: — Ten świat istnieje. Jest tu. Jest trzecia droga. Nie Toddle, nie Mysoft, lecz my... Pineapple.

Na środku okularów widniało jednobarwne logo nadgryzionego z dwóch stron ananasa.

— Chloe — mamrocze Lognhorn i powoli podnosi rękę.

